ROZMAITOŚCI.

Dnia 13. Grudnia. N$^{er}_{\text{“}}$ 50. Roku 1854.

SŁOWIK.

(Z bajek Anders'ena).

W Chinach, wszak wiecie państwo, jest Monarcha także Chińczyk, i wszyscy, co go otaczają są również Chińczycy. Wiele lat temu? — to trudnoby obliczyć; ale właśnie dlatego warto posłuchać téj historyi, nim pójdzie w zapomnienie! Pałac Cesarza był-to istny cud świata: cały z cienkiéj, przejrzystéj porcelany, bardzo kosztowny, ale tak kruchy, że niebezpiecznie było dotknąć się go prawie. W ogrodzie widać było najcudniejsze kwiaty, a najpiękniejsze z nich zdobiono jeszcze dzwonkami srebrnemi, które dźwięczały, gdy kwiaty rosły, i zwracały na się uwagę przechodzących. Słowem, wszystko w ogrodzie Cesarza było jak najmisterniéj urządzone. A ogród ten rozciągał się tak daleko, że sam ogrodnik nieznał jego krańców. Idąc coraz daléj wchodziło się do najwspanialszego lasu o wysokich drzewach i głębokich jeziorach. Las ten ciągnął się na dół aż nad same morze o sinych, głębokich wodach; okręta mogły podpływać aż pod gałęzie drzew, a w tém ustroniu mieszkał słowik, który tak cudnie spiewał, że nawet biédny rybak, obarczony troskami, stawał i słuchał, gdy nocną porą wyjeżdżał zarzucać siecie na ryby. „O Boże, jakiż-to cudny spiew!“ mówił; ale wnet musiał zająć się swą robotą i zapomniał o ptaszku. Jednakże gdy na drugą noc przybył znowu w to ustronie i słowik zanucił swe pienia, powtarzał to samo: „O Boże, jakiż-to cudny spiew!“

Ze wszystkich stron świata zjeżdżali się podróżni do stolicy Cesarza i podziwiali ją, podziwiali jego pałac i ogród. Ale gdy usłyszeli spiew słowika, mówili wszyscy: „To przecież najlepsze!“

I podróżni opowiadali o tém wróciwszy do siebie; i uczeni pisali wiele dzieł o stolicy, o pałacu i ogrodzie Cesarza. Ale i o słowiku niezapominali: tego chwalono najbardziéj, a poeci tworzyli najpiękniejsze poemata o słowiku w lesie nad głębokiém jeziorem.

Książki te krążyły po świecie i niektóre z nich dostały się wreszcie do rąk Cesarza. Otoż pewnego dnia zasiadł Władzca w złotém krześle swojém, i czytał; co chwila potwierdzał skinieniem głow y i uśmiechał się, bo go cie

szyły te szumne opisy stolicy, pałacu i ogrodu. „Ale słowik to przecież najlepsze!“ pisano w tych książkach.

„Cóż to znowu?“ rzekł Władzca. „Słowika ja nieznam wcale! Taki ptaszek ma się znajdować w mojém cesarstwie a nawet w moim ogrodzie? Tego nigdy niesłyszałem! Mamże się o takich rzeczach dowiadywać dopiéro z książek?“

I kazał natychmiast przywołać swego ochmistrza. A był-to kawaler tak dumny z swego dostojeństwa, że jeźli który z niższych odważył się przemówić doń lub spytać go o co, odpowiadał „Pe!“ tylko, a to nic nieznaczy.

„Ma tu być osobliwszy ptaszek, zwany słowik!“ — rzekł Pan miłościwy. „Powiadają, że to największa ozdoba mego cesarstwa. Dlaczegoż niewspomniano mi wcale nic o tém?“

„Nigdy przedtem niesłyszałem jego nazwiska!“ odrzekł zakłopotany kawaler. „Nigdy go nieprezentowano u dworu!“

„Ja chcę, by przyszedł dziś wieczór i spiewał w méj obecności!“ — rzekł surowo Monarcha. „Cały świat wié, co ja mam, a jabym niemiał wiedziéć?!“

— „Nigdy przedtem niesłyszałem jego nazwiska!“ — rzekł kawaler. „Ja będę go szukał, ja go znajdę!“

Ale gdzież go szukać? Kawaler biegał po wszystkich schodach do góry i na dół, po wszystkich salach i krużgankach, ale kogo spotkał tylko, nikt ani słyszał o słowiku. Kawaler powrócił do Cesarza i przedstawiał mu, że to pewno bajeczka tych trutniów, co pisują książki. „Wasza Miłościwa Mość nieuwierzy, co ci ludzie niepiszą! To same kłamstwa i figle czarnoksięzkie.“

„Ależ książkę, z któréj to wyczytałem“ — rzekł Władzca Chin — „przysłał mi potężny władca Japonii, więc musi to być prawda. Ja chcę słyszyć słowika, on musi być tu dziś wieczór, i koniec. Inaczéj każę cały dwór wychłostać i wygnać zagranicę mego państwa!“

„Tsing-pe!“ rzekł kawaler i biegał znowu po wszystkich schodach do góry i na dół, po wszystkich salach i krużgankach; i pół dworu biegało za nim, bo każdy się lękał doświadczyć gniewu pana swego. Dopieroż-to była wrzawa za osobliwszym ptaszkiem, którego znał świat cały, tylko nikt u dworu.

Wreszcie spotkali jakieś małe, ubogie dziéwczę w kuchni. „A! — słowik!“ rzekło dziéwczę — „o ja go znam dobrze; mój Boże, jak on cudnie spiewa! Co wieczór mam pozwolenie zanosić okruchy ze stołu mojéj biédnéj, choréj matce, mieszkającéj nad brzegiem morza; gdy powracam, i znużona usiądę na chwilkę w lesie, wtedy słyszę spiew słowika! O spiew ten wyciska łzy z moich oczu, i takam szczęśliwa wtedy, jak gdybym spoczywała w objęciach méj matki!“

„Mała kuchareczko!“ — rzecze kawaler — „ja ci wyjednam posadę w kuchni cesarskiéj i pozwolenie, widziéć Osobę jego w czasie obiadu, jeźli zaprowadzisz nas do słowika, bo mam go zamówić na dziś wieczór.“

I wszyscy wyruszyli do lasu, gdzie zwykle spiewał słowik; pół dworu towarzyszyło wyprawie. Gdy tak szli w naj-

lepsze, zaczęła ryczéć krowa pasąca się śród lasu.

„Aha!“ zawołał jeden z kawalerów dworskich, „otoż go mamy! To przecież nadzwyczajna siła w tak małém zwierzątku! Ale głos ten zda mi się być znany!“

„Nie, to krowa ryczy“ — rzekła przewodniczka. „Jeszcześmy daleko od tego miejsca!“

Po chwili zaskrzeczały żaby w bagnie.

„Przecudnie!“ — zawołał nadworny kaznodziéj chiński. „Teraz go słyszę; coś mi tak dźwięczy, jak małe dzwonki pagody.“

„Nie, to żaby!“ — rzekło dziéwczę. „Ale teraz zdaje mi się wkrótce go usłyszymy!“

Jakoż niebawem ozwał się spiew słowika. „To on! to on!“ — zawołało dziéwczę radośnie. „Słuchajcie! słuchajcie! A oto siedzi na gałązce!“ I wskazała palcem małą, szarą ptaszynę.

„Czy podobna!“ — zawołał ochmistrz. „Tak niebyłbym go sobie nigdy wyobrażał! Jakież-to skromne ptasze! Ale on pewno zmienił się ze wstydu na widok tylu znakomitych ludzi.“

„Luby słowiczku!“ — zawołało dziéwczę głośno; — „nasz najmiłościwszy Pan życzy sobie, byś spiewał w jego obecności!“

— „Z największą chęcią!“ odrzekł słowik i spiewał znowu, aż serce drżało z radości.

„Ależ-to dźwięczy, jak dzwoneczki szklanne!“ — ozwał się kawaler. — „A patrzcie, jak pracuje tém małém gardziołkiem! To szczególna, żeśmy go piérwéj nigdy niesłyszeli! On zrobi wielkie szczęście u dworu!“

„Czy mam jeszcze raz spiewać przed Cesarzem?“ spytał słowik, sądząc, że i Cesarz go słucha.

„Mój ty najmilszy, mały spiewaku!“ — odpowie kawaler — mam zaszczyt zaprosić cię na festyn dworski dziś wieczór, gdzie będziesz Jego Najm. Mość zachwycać twym słodziutkim spiewem!“

„Spiew mój wydaje się najlepiéj śród lasu!“ — rzekł słowik; ale przyjął z chęcią zaproszenie, dowiedziawszy się, że Cesarz go wzywa.

W pałacu przyrządzono wszystko jak najświetniéj. Ściany i posadzki porcelanowe jaśniały blaskiem tysiąca lamp złotych; najpiękniejsze kwiaty pełne dzwonków srebrnych poustawiano w krużgankach. A co tam było biegania i przeciągów, i wszystkie dzwonki dźwięczały, że nawet własnego głosu niemożna było dosłyszyć.

W pośrodku dużéj sali siedział Pan miłościwy; zatknięto złotą laseczkę, na któréj miał się popisywać słowik. Cały dwór był obecny, i małéj kucharce pozwolono stać za drzwiami, bo otrzymała już tytuł rzeczywistéj kucharki nadwornéj. Wszyscy byli w największéj gali i z zadziwieniem patrzyli na małą, szarą ptaszynę, którą Jego Miłość powitał skinieniem głowy.

A słowik spiewał tak cudnie, że Cesarzowi aż łzy stawały w oczach. Łzy spływały mu po policzkach, a słowik spiewał jeszcze cudniéj, aż chwytało za serce. Cesarz był tak mocno uradowany, że kazał słowikowi powiesić swój

złoty klejnot na szyi. Ale słowik podziękował za ten zaszczyt.

„Widziałem łzy w oczach Cesarza;“ — mówił — „to dla mnie największy zaszczyt, najlepsza nagroda! Łzy Cesarza mają wielkie znaczenie! Widzi Bóg żem dostatecznie nagrodzony.“ A potem spiewał znowu swym słodziutkim, prześlicznym głosem.

„A to najmilsza kokieterya, jaką widziałam!“ mówiły damy. I każda brała potem wodę do ust, by klekczyć, gdy kto z nią rozmawiał, chcąc tym sposobem naśladować słowika. Ba, nawet lokaje i pokojówki kazali oświadczyć słowikowi życzliwość swoją; a to wiele znaczy, bo tym najtrudniéj dogodzić.

Słowem, spiewak leśny zrobił prawdziwe szczęście.

Odtąd miał pozostać we dworze; dano mu osobną klatkę i pozwolono dwa razy we dnie a raz w nocy przechadzać się po ogrodzie. Wtedy towarzyszyło mu dwunastu służących, którzy go wodzili na jedwabnym sznurku uwiązanym do nóżki. Niewielka to była przyjemność robić takie wycieczki!

Całe miasto mówiło o osobliwszym ptaku, i gdy się dwóch spotkało, niemówili do siebie nic więcéj tylko „Słowik!“ — „Słowik!“ — a potem wzdychali oba i rozumieli się. Już nawet przekupki nazywały po tém imieniu swoje dzieci, ale żadne z nich niepotrafiło tak spiewać.

Pewnego dnia otrzymał Cesarz duży pakiet, na którym był napis: „Słowik.“

„Otóż mamy nową książkę o naszym sławnym ptaszku!“ — rzekł Cesarz. Ale to niebyła książka, lecz mały instrument zamknięty w pudełku: sztuczny słowik, podobny do żywego, lecz dokoła wysadzany brylantami, rubinami i szafirami. Gdy naciągnięto instrument, nucił sztuczny ptaszek jeden z tych kawałków, które spiewał żywy, i poruszał ogonkiem połyskującym od srebra i złota. Na szyi miał maleńką wstążkę, a na téj był napis: „Słowik Cesarza Japonii niknie obok słowika Cesarza chińskiego.“

„To przecudne!“ — mówili wszyscy, a ten co przywiózł sztucznego ptaszka, otrzymał tytuł: „Nadworny Słowikarz chiński.“

„Teraz muszą spiewać razem“ — rzekł Cesarz — „będzie to prześliczny duet!“

I musiały spiewać razem; ale jakoś nieszło im składnie, bo prawdziwy słowik spiewał swoim sposobem, a sztuczny grał jak maszyna. „To nie jego wina;“ — mówił słowikarz nadworny — „on trzyma takt ściśle i spiewa całkiem podług mojéj szkoły!“ — Postanowiono więc, by sztuczny ptak sam spiewał. Spiew jego zrobił niemal większe wrażenie niż żywego słowika, a przytem tak lubo było nań patrzéć, bo błyszczał jak naszyjnik lub szpinka brylantowa.

(Dokończenie nastąpi).

ZAGRODA WIEJSKA.

Powiastka z piérwszych lat XIX. wieku.

(w Bibliotece Warszawskiéj z roku 1854.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 47. 48. 49. Rozmaitości.)

III.

Bitym gościńcem, prosto do lasa,
Tumanem pyłu skryta kolasa
Dąży przez pole, jak sięgnie oko
Ponad bzurzańskie łąki széroko,
Obrosłe w trzcinę i rokiciny,
Giną w pomroku oddali sinéj.
A tam, gdzie Bzura wężykiem płynie,
Wioski się małe kryją w olszynie;
Lub téż w topole albo wierzbiny
Zdobne, panują wpośród doliny.
A bocian, zwiastun błogiéj pociechy,
Stróżuje ponad nizkiemi strzechy.
I na rozstajach znów Boże męki,
Milczące świadki prośby lub dzięki;
Świadki serc prostych cichéj ofiary,
Stare pomniki odwiecznéj wiary,
Godła przymierza niebios i ziemi:
Zdają się zdala ramiony swemi
Zsyłać otuchę na znojne czoła,
I błogosławić milczące sioła.

Szarzeją w mroku dawnego miasta,
Niegdyś prawicą wzniesione Piasta
Zdobne zamczyskiem łęczyckie mury.
Tum, dumne czoło wznosi do góry.
Słuszna mu duma: bo wieków brzemię
Darmo mu barki nagina w ziemię;
Próżno dmą wichry o gmach wspaniały:
W chmury on przecież pogląda śmiały!
Bo wié, że mnogie wprzód pokolenia
Przejdą po ziemi, zanim sklepienia
Wzniesione niegdyś potężną wiarą,
Gruzami ziemię zalegną szarą;
Zanim strzaskane przemożną falą
Dumne wieżyce w proch się obalą!....
Daléj znów oko wśród mglistéj chmury
Szczyt niewysokiéj dostrzega góry!
Zkądże ów wzgórek sterczy jedyny
Wpośród obszernéj wkoło niziny?
Słuchajmy oto ludu podania,
Co tajemnice słowem odsłania.

Niemało wody do Wisły Bzura
Stoczyła odtąd. Tu, kędy góra
Wznosi się w niebo z głębi doliny
Wśród tataraku i rokiciny;
Legły się niegdyś obydne gady
Węże, padalce, i żmije jady
Zionęły z głębi chłodnego łona!
Kto się tu zbłąka, niebawem kona
W ciężkiéj boleści: tożto sprawiła
Niegdyś Boruty nieczysta siła!
Mnogie już mnogie, Boruta stary
Z poblizkich włości zebrał ofiary!
Czy to bywało z miasta powraca
Kmiotek drożyną; czyli go praca
Dłużéj zatrzyma z pługiem na skibie:
Już złe na niego w pomroku dybie,
I ciągnie prosto w oparzelisko,
Kędy plugawe wężów łożysko.

A gdy moc dziwna zawraca koła
Daremnie kmiotek pomocy woła,
Darmo struchlały łzą rzewną płacze:
Nad głową jego ćma kruków kracze,
Czując, że dla niéj blizka biesiada;
I pućka z cudzéj niedoli rada
Chichocze straszno w pomroku nocy,
Wierna przymierzu nieczystéj mocy.

Kogo złe sidły ujęło swemi
Już ani słychu o nim na ziemi;
Toż przy ognisku samotnéj chatki,
Starce, niewiasty i drobne dziatki
Darmo czekają z obliczem bladem.
Kto ozionięty zatrutym jadem

Między plugawe popadł gadziny,
Nie wróci w koło cichéj rodziny:
Żywcem go skryje chłodna mogiła.
Takto potężna Boruty siła!

Lecz potężniejsza od złego mocy
Pomoc niebieska: toż jednéj nocy,
Staruszek siwy, z dalekiéj drogi
Powracał wózkiem w domowe progi.
Wołków go sadnych ciągnęło pare,
Jak opowiada podanie stare.
A byłto starzec pobożny, cichy,
Wolen od grzechu, wolen od pychy;
I od kolebki aż do mogiły
Lata się jego wiankiem przewiły,
A na sumieniu starca ni mała
Nigdy bliźniego łza nie postała.
Toć go też kochał Pan Jezus w niebie,
I Matka Boska w każdéj potrzebie
Przemówi za nim do swego syna;
I kocha starca świętych drużyna.
A kiedy ręce pokornie złoży,
Anioł go skrzydłem osłania Boży.

Ledwie Boruta koła zawróci
Ku trzęsawiskn, staruszek nuci:
„O Małgorzato błogosławiona!
Ustrzeż od złego.“ Wtém z niebios łona
Zstąpi w obłoku święta dziewica:
Nadziemski urok krasi jéj lica,
Woń bije z łona, a ponad czołem
Korona świeci, promiennóm kołem.
Starzec z pokorą na twarz upada,
I szorstkie dłonie pobożnie składa,
Ducha z modlitwą w niebiosa wznosi,
I o ratunek dla bliźnich prosi.
A kiedy w ziemię uderza czołem,
Wnet oba wołki klękają społem.
Toć go wysłuchał Pan Jezus w niebie,
Bo starzec nigdy jeno za siebie
Nie błaga, ale bliźniego bole
Srozsze mu, niżli własne niedole.

To też od owéj pamiętnéj nocy
Pierzchła potęga straszliwéj mocy.
Starzec ku wiosce zawraca koła,
W chatce go wita dziatwa wesoła;
A on bezpieczny w domowym progu,
Z drużyną znowu dziękuje Bogu.

Od dnia onego wioseczka cała
Postać promienną świętéj widziała,
Jak o wieczornym codziennie mroku,
Z nieba przypływa w jasnym obłoku;
A otulona odblaskiem zorzy,
Stąpa leciuchno po ziemi Bożéj,
I na pnstkowie, dłońmi świętemi,
W fartuszku małą bryłeczkę ziemi,
Z blizkiéj dąbrowy co raz przynosi:
Aż się i wzgórek nieznacznie wznosi
Na trzęsawisku.
Płynęły lata....
Starce pomału zeszli ze świata,
W starców zamienił czas dziatki hoże.
Aż tu, gdzie niegdyś plugawe łoże,
Gadów siedziba tkwiła ponura,
Wznosi się w niebo wyniosła góra,
Nad okolicą panując zdala.
A lud panienkę z nieba wychwala.
I Małgorzacie wystawia świętéj
Mały kościołek, za trud podjęty.

Wyschło do szczętu plugawe łoże
Gadzin zjadliwych; tylko piskorze
Zaległy rojem błota Łęczycy.
Toż przy kielichu lub przy szklenicy,
Gdy się niekiedy ochota wszczyna,
Toć jaki taki, Łęczycanina
Piskorzem nazwie; a płoche słowo
Przypłaci nieraz szramą lub głową.

Pędzi po drodze żółta kolasa,
Czwórka kasztanów ochoczo hasa;
Krakowskich chomąt pędem wzruszone
Dzwonią kółeczka; płaty czerwone
Coraz to silniéj wicher rozwiewa,
I z wiatrem igra kasztanów grzywa.
Na koźle siedzą tuż obok siebie
Grzegórz z Wojciechem; na jednym chlebie
Znać wyżywieni, bo ich postacie
Niemal jednakie. W podobnéj szacie
Chodzą obadwaj: kapota siwa
Obudwom barki równo przykrywa;
Obu czupryny szpakiem sprószone,
Obu jak rydze, lica czerwone.

Lecz oko zrazu zmiany dościga:
Bo Wojciech wąsy krótko przystrzyga
Jakby szczoteczkę; Grzegorza ucha
Niemal sięgają: ztąd téż na zucha
Z miny mu patrzy. Boć on woźnica:
Rad nie rad musi nasrożyć lica,
Kiedy wywijał długim biczyskiem.
Wojciech z szatami, albo z półmiskiem
Wiecznie ma sprawę: toć obyczaje
Winno łagodzić; przecież on łaje
Każdego, kto mu stanie na drodze.
Tnie *pater noster* żonie niebodze,
Pachołki, dziéwki gromi bez miary.
A kiedy w zrzędę popadnie stary,
Ostrego mores nikt nie unika:
Łaje samego nawet stolnika,
Choć go nie czczemi miłuje słowy,
I pono, że do deski grobowéj
Miłować będzie.
W głębi kolasy,
Co saskie jeszcze pamięta czasy —
(Na ostatni ją sejm kapturowy
Kupił chorąży, deputat nowy
Ziemi gostyńskiej, u Dangla pono) —
Stolnik z Marcinem, zda się że toną
W myślach głęboko. Stolnika lica
Płoną nad miarę: to mu źrenica
Błyśnie złowieszczo, to skinie głową,
To bąknie jakieś pod nosem słowo,
To czoło zmarszczy, to szarpnie wąsa.
A Wojciech widząc że się pan dąsa,
Raz po raz rzuci na niego okiem,
Milczeniem dziwnie znudzon głębokiem:
Boć do gawędy, toż stary na to
Zawsze gotowy, jakby na lato.

— „Kiedyć tak wreszcie (stolnik zagada) —
Jak groch na ścianę słowo me pada;
Pono z przyjaźni będzie i kwita
Toć kasztelanka nie pospolita
Gratka dla Waści; posag mospanie
Wcale nielada: z górą dostanie
Osiem tysięcy czerwonych pono.
Do tego wioskę nie odłużoną,
Co na niéj zboża korcy ze dwieście
Wysiewać można; a przytém wreszcie
I parentela niemało znaczy!
Zarazto człeka cenią inaczéj
Ludzie, gdy jego własne zasługi
Podpiera szereg naddziadów długi.
Wasze nic na to nie rzeczesz przecie!“
— „Co z antenatów przyjdzie kobiécie —
Odpowié Marcin, skłaniając głowę —
Toż dla niéj męża imię gotowe;
Byle go jeno nie skryła kałem,
To jéj staraniem winno być całem.
Niechaj cnotliwie żyje po Bogu,
Do światowego nie lgnie barłogu;
Niech w próg domowy i własną strzechę
Pogodném okiem sieje pociechę;
Niech przy ognisku, w kole rodziny,
Uczy skromności córy, a syny
W cnotę i siłę hartuje z młodu,
By nie skaziły swojego rodu;
Niech będzie wierna, potulna, cicha,
Niechaj do marnych rzeczy nie wzdycha: —
Toż się przy takiéj szczęście znachodzi,
I nikt nie spyta, kto ją tam rodzi!“

— „Jakby na mękach Waszeć mi plecie,
Nibyto nie wié każdy w powiecie
Kto kogo rodzi? Oj! wstyd mospanie,
Takie niemądre objawiać zdanie.
Jakem sodalis, Waszeć Prandota:
Prandotom w spadku dziedziczna cnota;
A człek cnotliwy, czyż się ośmieli
Nie uszanować cnéj parenteli?
We krwi to jeno, zasługi ziarno
Przyszłéj spoczywa: toć téż nie marną
Rzeczą podobno, znaleść w niewieście
Krew czystą z któréj lat z górą dwieście
Zacne koleją wzrastały męże,
Co na tatarskich karkach oręże
Tępiły niegdyś; a potem z laty,
W karmazynowe odziani szaty,
W świetne senatu siadali koło,
Albo infułą zdobili czoło:
A w bezkrólewiu, toż pastorałem
Jak berłem, krajem trząsali całym!
Z takiéj krwi zacne wyrosną dziatki,
A Waści marną rzeczą krew matki!
Istne bluźnierstwo!“

— „Stryju kochany!
Oj! często gęsto i miedzy pany,
Choć ich ród świeci jak czyste ziarno,
Znajdziesz i plewę pustą i marną!
W błocie kalają dzieci zasługi
Cnych antenatów, co przez czas długi
Turki, Tatary żelazem gniotły....
Z pszennego ziarna wszak się i miotły
Rodzą niekiedy?..."

— „Bywać to bywa" —
Odpowié stolnik, i głową kiwa,
I ciężko westchnie. „Ależto przecie
Niezawsze bywa tak źle na świecie;
A kasztelanka, to owoc z drzewa
Nieskażonego."

— „Z tego, co Ewa
Dała ogryzkę marną mężowi" —
Odpowié Marcin

— „Coto Waść mówi?
Od takich żartów Waszmości wara,
Bo karabela odpowié stara.
W méj obecności, nikt białogłowy
Nie skrzywdził nigdy płochemi słowy;
A choć mnie jedna z młodu zdradziła,
Przecież cześć wszystkich równo mi miła.
Niedarmo panna w herbie Prandotów!
Jakem sodalis, toć każdy gotów
Krwią własną obmyć zaszczyt niewieści."

(Dalszy ciąg nastąpi.)

EL ULID.

Dramat arabski.

Słynął w Bagdadzie z cudnéj urody młodzieniec Abd-er-Rahman ben-Ismael, ale lud wołał go Ddadon, co znaczy klejnot niewysłowiony, bo nikt od niego nie składał piękniejszéj poezyi.

Umm-el-Benine sułtanka a żona Kalify El-Ulid ben-abd-el-Melika, rozchorowała się za młodym poetą. Więc go przywoływała codzień, i taiła w wielkiéj skrzyni, gdy kto nadchodził.

Zdarza się że Kalifa dostaje w darach bardzo piękny dyadem z drogich kamieni; uradowany woła: „Złożę go na skronie słońca mojego Umm-el-Beniny" i posłał rzezańcem do pani.

Rzezaniec dochodząc widzi drzwi odchylone; co to ma znaczyć? myśli, nadstawia ucha i słyszy wesołe pląsy i spiewy.. podsuwa się i wzrok jego spotyka oko młodego mężczyzny. Abd-er-Rahman pobladł z przestrachu; przytomniejsza Umm-el-Benine wsadza kochanka do skrzyni.

Zapóźno niestety! rzezaniec dopatrzył. Podły niewolnik oddaje klejnot i mówi: „Oto dyadem dar twego pana, ale kamień jeden mnie się należy." — „Co zaś" rozgniewana zawoła Sułtanka, „precz ztąd potworo!"

Rzezaniec wściekły wraca do pana i mówi: „Następco proroka! zastałem mężczyznę w komnacie Sułtanki, a na mój widok zamknęła go w skrzynię" i opisał w któréj.

Na to Sułtan El-Ulid ben-abd-el-Melik powstał na sługę z grozą: „psie niewierny, bluźnisz!" uciąć mu głowę. I w okamgnieniu spadła głowa rzezańca, a Sułtan podniósł się i poszedł sam do komnaty Sułtanki.

Właśnie przystrajała włosy w dyadem gdy Sułtan wszedł i usiadł na skrzyni, którę mu niewolnik opisał. Zaczyna rozmawiać, wreszcie zapytuje: „Dlaczego ty się kochasz w téj izbie?" — Bo tu mam suknie moje, odpowiada Sułtanka. — „Słusznie! ale nie odstąpiłabyś mi któréj z skrzyń twoich?" — Dlaczegoż nie; bierz jaką zechcesz, prócz téj na któréj siedzisz. — „Właśnie ta mi się podobała." — Chwilkę zastanowiła się Sułtanka, potem mówi: „Zgoda! niech i tak będzie."

Na znak Sułtana, przybyli murzyni; „Weźcie tę skrzynię, — mówi Sułtan, — na dół do radnéj sali, i czekajcie."

Gdy niewolnicy wynosili skrzynię, na Sułtankę padły śmiertelne mdłości. — „Co ci jest, pyta Sułtan, twarz ci się zmieniła, może ci żal za skrzynią?" — „Ah, panie, o skrzynię niechodzi, ale mi się słabo zrobiło." — „Bóg cię pocieszy" rzekł Sułtan i odszedł.

A gdy wrócił do radnéj sali, mówi do murzynów: „Podnieście z ziemi kobierzec, i wykopcie jamę na chłopa." I gdy jama była gotowa, rozkazał nad nią postawić skrzynię, przystąpił i potrącając nogą rzekł: „Doniesiono mi rzecz pewną, która jeżli jest prawdą, niech ci odzież twoja będzie całunem, a skrzynia trumną, i Bóg niech cię sądzi; — a jeżli co mi mówiono jest nieprawda, grzebię skrzynię i szkoda tylko po drewnie." — Pchnął nogą i skrzynia się stoczyła. — „Boże mi przebacz" dodał El-Ulid, rzucając grudkę ziemi za nią.

Murzyni zasypali jamę, zagładzili ziemię i rozścielili kobierzec, jak było wprzódy; Kalifa zasiadł i składał sądy spokojnie jak zawsze; pod wieczór udał się do Sułtanki i żyli w zgodzie do śmierci.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.